Nr. 8. Lwów, dnia 1. marca 1892 r. Wydawnictwa Rok XV.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** również **illustrowany** 25 każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane*. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry" kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australjii innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku, Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi. lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski

Sposób...



— Co ci się stało? dla czegoś wstała — moja żono...
— Niech się tam wszystko ułoży, bo siedzący nie mogę już jeść, a jeść trzeba, bo to przecie zapłacone...

Na ulicy...



— Ciekawy jestem, po co my się włóczymy po ulicy?...
— Dla rozrywki...
— Kto cię tam będzie rozrywał, jak idziesz ze mną!..

Gorzkie żale
z lwowskiego karnawału.

Karnawał dobija do brzegu. Różnie mu się powodzi i powodziło na fluktach galicyjskich, ale do portów małżeńskich rzadko zawijał i pozostawał więcej na falistych wodach swawolnego, a do niczego nie obowiązującego, romansu — Z takiego mdłego usposobienia, wynikła pewnego rodzaju konsterancja w poważnych kołach rodzinnych — zmieniono tu i owdzie kolacje zimne na gorące — ale koniec końcem, popyt na małżeństwa, okazał się słaby i nie ożywił go nawet „drożyzniany dodatek" zaaplikowany do dziurawych kieszeni wszelakiej biurowej młodzieży. Stała tendencja anti — małżeńska wśród naszej młodzieży, tak silnie zapanowała, że wszelkie dyplomatyczne zachody rodzicielskiej pieczołuwitości — były istnym grochem na ścianę...

Widziałem ja sam na jednym z balów publicznych scenę, nietylko w swoim rodzaju charakterystyczną, lecz jaskrawo malującą usposobienie rezerwowe tego najmłodszego pokolenia płci brzydkiej, na którem opierają się nadzieje, jeśli już nie co do naszej przyszłości to, przynajmniej, co do wzrostu prawidłowej populacji, a co zatem idzie, przysporzenia sił społecznych, które przecież kiedyś muszą stanąć kością w gardle tym wszystkim, co to nas chcą zjeść żywcem.

Na owym balu — powiedzmy prawdę, Salomejek, zauważano, że wielu z młodzieży podpiera plecami ściany balowej sali, a jeszcze więcej, w komnatach bufetowych filozoficznie wpatruje się w kufelki piwa myśląc nadtem, o ile ustawa o lichwie przyczyniła się do równowagi finansowych stosunków Galicji w obec tego niezbitego faktu, że podczas postu, niema gdzie zastawić porządnego fraka...

Na uboczu siedział młody człowiek zamyślony, ale kufla przed nim nie było. Koło tego samego stolika, usiadł podżyły jegomość.

— Kelner! proszę flaszkę pilznera i dwie szklanki.

Stało się za dość życzeniu.

— Pan tak sam siedzi — młody człowiek — to nie dobrze — zwrócił się podżyły jegomość do zamyślonego sąsiada.

— Sam — cóż robić...

— Jakto, co robić? bawić się, tańczyć...

— Nie tańczę.

— Pozwoli pan, że mu się przedstawię jestem Pirogiewicz, właściciel realności.

— Zołądkowski — odrzekł sucho młody człowiek, uścisnąwszy obojętnie podaną rękę.

— Może szklaneczkę piwa?..

— Nie piję.

— Papierosika — co?..

— Nie palę.

— No to chodź — że pan — przedstawię pana moim córkom?..

— Nie żenię się...

Właściciel realności, bez ceremonji schwycił za flaszkę ze szklanką i usadowił się przy innym stoliku. — Ostatecznie, należałoby przecież coś poradzić na taki wstręt do małżeństwa. Starania pojedyńczych jednostek nic tu nie pomogą, ale ponieważ rzeczą jest dowiedzioną, że zbiorowe siły, asocjacje, stowarzyszenia, stały się dzisiaj dźwignią postępu, dobrobytu i rozwoju społecznego — możnaby i w tym kierunku działalność rozpocząć. Istnieje u nas ze skutkiem towarzystwo zachęty sztuk pięknych, dlaczegoby nie miało z korzyścią pracować towarzystwo zachęty małżeńskiej?.. Nie jest to moja myśl oryginalna — broń Boże! Słyszałem tylko, że towarzystwo Salomejek w tym, właśnie, kierunku ma zamiar uzupełnić swój statut, więc uważam sobie za dziennikarski obowiązek dać wyraz publiczny takiemu projektowi, który niezawodnie, da lepsze rezultaty, aniżeli te, jakie spotykamy w ostatnim sprawozdaniu tych pań i panien stowarzyszonych pod wezwaniem Ś-ej Salomei głównie w tym celu, aby ocierać łzy niedoli... nie swojemi chustkami. Nad takiem uzupełnieniem statutu, pracuje pewien tutejszy, znakomity humanista, który ślicznie gra na fortepianie i cudownie tańczy walca, a do tego, jest kawawalerem nieskazitelnej reputacji i nigdy się żadnej kobiecie nie sprzeniewierzył.

Rapax.

Od ręki.

Od Redakcji. Numer ten z powodów cenzuralnych równie, jak i *dodatek* opóźniły się nieco w ekspedycji — z numerem też niniejszym rozeszła się razem dodatek p. t. **Iskierki.**

═ Ślusarze zawinili, a kowala chcą wieszać...

Powyższe przysłowie przyszło nam na myśl, gdyśmy czytali opisy pożaru młynów i zabudowań Thoma, oraz krytykę ratunku przez lwowską straż ogniową. Przedewszystkiem, taki zakład przemysłowy obszerny, jak Thoma, powinien mieć u siebie, jaki taki lokalny zorganizowany ratunek na wypadek ognia, choćby o jednej sikawce i kilku najpotrzebniejszych narzędziach, aby w pierwszej chwili, zanim przybędzie straż ogniowa, przeszkadzał, o ile można, szerzeniu się pożarowi — w zakładzie Thoma tego wszystkiego nie było — i niebyło także w sąsiednim browarze Schmelkesa. Jeśli prawdą jest, że pogotowie z gmachu ratuszowego przybyło w pół godziny po wybuchnięciu ognia — to wcale nie byłoby to długo biorąc na uwagę ½ milową niemal przestrzeń dzielącą ratusz od miejsca pożaru i pegazy tramwajowe, którym po drodze do ognia perswadować trzeba, aby zaczęły spieszyć, bo tam ludzi parzy... Już to pomysł, aby konie z tramwaju używane były do obsługi ratunku pożarnego — mógłby dostać medal na kongresie, na którymby obradowano, czego ludzie robić nie powinni.. Konie tramwajowe zmizerowane i schlastane całodzienną jazdą, zaprzężone do sikawek, lub do wozów pożarnych, przyzwyczajone ciągnąć tramwaj po szynach żelaznych, równych — na bruku, albo zwykłej ziemi, ustają po prostu, a kropienie ich batem, daje, jedynie, przedstawienia choreograficzne. Teren Lwowa falisty, po większej części bez bruku, potrzebuje rączych i dobrze ujeżdżonych koni dla straży ogniowej, a nie weteranów, diurnistów ze stajni tramwajowej i rumaków patrzących już jednem okiem na hyclowską górę... Ktoś, gdzieś napisał, że, gdy ogień wybuchł, naczelnika ogniowego i jego zastępcę znaleziono w domu. Ciekawi jesteśmy, gdzie o 1½ w nocy człowiek porządny ma się znajdować, jeżeli nie w domu i nie w łóżku?... Czy może naczelnik i jego zastępca powinni sypiać w stajni — przy koniach?..

Rzecz w tem, że miejska straż ogniowa, jest niedostatecznie zorganizowana i uposażona: nie posiada dobrych, ujeżdżonych koni, nie posiada odpowiednich narzędzi ratunkowych, ma za mało beczek do wożenia wody, za mało sikawek i za szczupły personal strażacki. O tem wszystkiem, o tych niedostatkach, powinna pomyśleć rada miejska — ale u nas tak postępują, jak ów żyd z karczmą:

— Żydzie! dlaczego ty dachu nie naprawisz — deszcz leje do stajni!...

— Ny, jakże naprawić, kiedy deszcz pada...

— No, ale, jak przestanie.

— To wtedy nie trzeba, bo sucho...

Tak się i u nas dzieje. Jest dosyć upowszechnione mniemanie u tych szczególniej, co należą do *ochotniczej* straży ogniowej, że ona pomaga przy pożarach. Bajki! Ochotnicza straż ogniowa, jest dobra i pożądana w małych miastach, po wsiach — ale we Lwowie, zamiast tej, należałoby obrócić pieniądze na uzupełnienie prawdziwej straży ogniowej Co tam komu przyjdzie z parady na pogrzebach i z tego, że kilkudziesięciu ochotniczych strażaków, ładnie maszeruje przy jakiej uroczystości...

Ratunek zabudowań Thoma przez miejską straż ogniową, był zarządzony dobrze, umiejętnie, bystro i energicznie, a jeśli nie mogło być tego, co potrzeba, bo brakowało wiele, co być powinno, nie winien, ani naczelnik straży, ani jego zastępca, ani żaden strażak, tylko ci, co kierują sprawami miasta — oni powinni się postarać o to, aby wszystko było na wszelki wypadek. Samo zlokalizowanie tak ogromnego pożaru, niedopuszczenie ognia do magazynów zbożowych, stajni i sąsiedniego browaru Schmelkesa — musiało być uskutecznione z nadzwyczajnem wysileniem. Skoro tego straż ogniowa miejska dokonała — spełniła gorliwie i zaszczytnie swój obowiązek. To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Co do strat p. Thoma — to one są dotkliwe — niezawodnie — ale znowu nie takie, jak niektórym panom o zbyt czarnych okularach, zdaje się. Główna strata w tem, że zanim się to wszystko odbuduje, p. Thom nie będzie miał dochodów bieżących — odbuduje się zaś w 8, lub 10 miesięcy za pieniądze Krak. Tow. wzaj. ubezpieczeń, w którem wszystko było asekurowane. Mówią, że przeszło 100 robotników przez pożar straciło miejsce — przy odbudowywaniu młynów, piekarni i domu mieszkalnego, znajdzie zajęcie więcej, jak 200 robotników.

Ważną jest kwestją, jakim sposobem powstał pożar?.. Czy przez nieostrożność, czy przez umyślne podpalenie? W mieście powszechnie przypuszczają to ostatnie. Jeśli tak jest — to bardzo źle...

═ „Stosunki“!...

Ze wszystkich stron nic więcej nie słyszysz tylko: „co za stosunki okropne! ach, Boże mój, jakie tu stosunki! reta! nie wytrzymam wśród tych stosunków!“ Jaki mieszkaniec rzeczy pospolitej Chilijskiej, myślałby, że Galicję zamieszkują jakieś „stosunki“, na dwóch nogach, o dwóch uszach i o dwóch żołądkach i, że ten naród „stosunkowy“ uprawia ludożerstwo, zdradzając przytem gust do chudego mięsa, bo chwyta na rożen tych przedewszystkiem, co się karmią drukowaną bibułą. I nie uwierzyłby ten mieszkaniec, że tu tylko jest fabryka stosunków, którą prowadzi inteligencja odłamu tego wielkiego niegdyś narodu, co jak legendowy orzeł, jednem skrzydłem trzepał po pysku carów moskiewskich, a drugiem zmiatał z pod Wiednia nieprzejrzane kupy pogaństwa tureckiego, któremu już ze strachu poczęli lizać plecy opuszczając głowę co raz niżej.. W istocie, stosunki sfabrykowaliśmy sobie bardzo ładne, bo przedewszystkiem skonstruwaliśmy sobie ludzi do wszystkiego, którzy, jednocześnie, nie potrzebują się zajmować niczem, a mogą robić, co się komu podoba...

═ Życie i śmierć.

Przeciętna długość życia ludzkiego wynosi 38 lat.

Na 100,000 osób, jedna zaledwo dosięga lat stu.

Czwarta część ludzi na całym świecie umiera przed rokiem 7-ym, połowa przed 17-ym.

Stan małżeński, podług ścisłych danych statystycznych, zapewnia dłuższe życie, niż stan kawalerski, lub panieński

Rocznie — podług ostatnich cyfr — umiera na całej kuli ziemskiej 33 miljony osób, dziennie 91,553 osób, na godzinę 3,739 i na minutę — 62 osoby.

Na 1000 osób, które dosięgają 70go roku życia, znajduje się przeciętnie 92 wojskowych, 40 gospodarzy wiejskich, 34 lekarzy, 33 rzemieślników, zaledwo 29 adwokatów i inżynierów i tylko 27miu nauczycieli.

═ Z Nowego Sącza.

Mowa sekretarza Haasa w browarze miejskim, z okazji wyborów do rady miejskiej w Nowym Sączu.

Szanowni wyborcy! (stojąc na beczce) Otóż, widzicie, żeśmy was tu nie na darmo zwołali. Macie co pić i używać, a wiecie, kto wam to dał? Oto pan burmistrz i jego partja magistracko-kahalska; a wiecie za co? Abyście pili i głosowali we czwartek na pana burmistrza, bo już nie chcą obrać burmistrzem dra Slavika ci jacyś tam panowie adwokaci, księża, urzednicy, profesorzy, a nawet cech wielki i wszystkie małe, z wyjątkiem cechmistrza cechu szewskiego p. Garguli, bo on z nami trzyma, on ma rozum! bo przecież magistrat obiecał mu zawsze dawać buty szyć policjantom, a nawet cał kahał już przyrzekł, że od Fränkla nie będą butów sprowadzać, tylko u niego robić każą. A z inteligentników, co wam przyjdzie? to przybłędy, wczoraj byli kto wie gdzie, a dziś są tu i myślą, że będą rządzić! O niedoczekanie ich, dopóki tu mnie stanie — nie dopuścimy do tego! A więc trzymajcie się żydów i p. burmistrza, to wam dobrze będzie! Sami wiecie, kto lepszy: katolik, czy żyd? — czy wam katolik zborguje? — czy wam da piwa szklankę? — A u żyda wszystko dostaniesz! (Głosy na wpół pijanych: „prawda“). Przysięgnijcie więc, że taką kartkę przy głosowaniu oddacie, jaką wam magistrat da. (Przysięgamy! — zawrzeszczeli popijając). — Nie myślcie, że ja zwarjował, bo warjuje się tylko w młodości, ale nie na starość. Ja sam w młodości warjowałem: chwycił się mnie obłęd, że jestem patrjotą, ubrałem się nawet po polsku i chodzę tak dotąd — ale to tylko przez głupie przyzwyczajenie, — bo prawdę mówiąc, daleko mi milsze chałaty i jarmułki, niż ten jakiś kontusz. — Mieliśmy niedawno patrjotę burmistrzem, to sami wiecie, że jak kto przyszedł do niego z prośbą, to on nawet na stołku nie posadził i krótko odpowiedział, że on tego zrobić nie może, bo prawo nie pozwala, a stodoły słoma kryte w mieście nie pozwalał nadal słomą kryć, a nawet niektóre zburzyć musieli, — zaś obecny burmistrz, jest zupełnie inny; na kanapie posadzi, wszystko przyobieca, chociaż, co prawda, nie wszystko dotrzyma, bo się musi patrjotów bać, a stodoły słomą kryte, toby wam pozwolił na środku rynku postawić. Takiego nam burmistrza trzeba („Vivat!“), a co prawda, to każdy z nas w magistracie robi, co mu się podoba; tegoż też dalej chcemy.

Jeszcze wam jedno powiem — Przecież miasto nasze założył nie żaden polak, tylko Wacław, król czeski i on miał rozum, bo nie pozwolił żadnemu polakowi osiedlać się w mieście, tylko samym czechom i żydom, — bo on wiedział, kogo się trzeba bać. Widzicie, że to jest miasto czeskie i żydowskie, to kahał powinien niem rządzić i czech, a dr. Slavik już zęby zjadł na polskiej ziemi — ale po polsku tak mówi, jakby miał czeskie kluski w gębie, on czech i jest w czeskim Nowym Sączu, który, jak powiadam, król czeski Wacław założył.

Bają tam coś w Podegrodziu, że tu polaki szwedów pobili — to falsz — ja wiem lepiej — to żydzi ich tam porazili, ale nie miał kto o tem napisać, — ja wam mówię, majątek, co miasto ma, to także dar żydów — oni go przynieśli z Palestyny. Żeleźnikową. Paszyn — to też kahał powinien tam rządzić. — Co mieszczanie mają się w to wtrącać? Wara im!

Gdyby był burmistrzem jaki patrjota, tobyście wnet nową plebanję budować musieli, bo stara już się wali. Teraźniejszy burmistrz do tego nie dopuści ze swoją partją. Co nam tam po księdzu, plebanji, — niech ksiądz mieszka, gdzie chce — my się bez księdza obejdziemy — jak chce niech sobie przeniesie nawet i kościół do Świniarska, tam mu może prędzej plebanją wybudują. Ja sam chodzę, wprawdzie, dość często do kościoła — ale to tylko głupie przyzwyczajenie i modlę się po łacinie, aby polską mową Boga nie straszyć, bo łacina prędzej do hebrajskiego języka podobna; ale bez księdza i plebanji i ja, i każdy z nas się obejdzie, a więc wybierzmy do rady tych, co z nimi trzymają, ale nie jakichś tam porządnych mieszczan, patrjotów — to nam wszystkim dobrze będzie. Przyrzekacie? (Przyrzekamy! przyrzekamy! wołają pijani).

Wiadomy.

═ Z Mościsk na jarmarku.

— Hou! hou! z drogi! Stój! haho! hahou! Niech go jasny pan obejrzy!... Odwrotnego włosa nie ma, wod wucha aż do kopyta. — Dopiero co wohrajki zrocował. A fein, łagodny, jak dzieciak — można pod niego podłazować... Od czasu, jak przyprowadzuje koniów z Koniuszeckiej stadniny, jeszczem takiego nie miał.

— Ależ, mój Herszku, co ty wygadujesz? łżesz po prostu!

— Psiepraszem, jasnego pana, to dobry koń... Co ja mam łgać — to się widzi...

— Ależ to nie koń — to nędzna szkapa niewarta i piętnastu guldenów...

— Ny, co jasny pan gada! szkapa... szkapa!...

— Ny, jeżeli wań nic niewart. Niech jasny pan idzie w zakład, co ja na nim z Mościsk do Krukienic za pół godziny zajadę.

— Zapewne! łżesz, jak wszystko...

— Ny, niech sze jasny pan założy!

— Dobrze — o 10 guldenów, ale pamiętaj, że ci nie daruję!

— A widzi jasny pan, już jasny pan psiegrał! Ja na nim do Krukienic jadę jeno pół godziny, a potem dalej idę piechotą...

═ Wystawa pomnika dla ś. p. Włodzimierza Barwińskiego, publicysty ruskiego.

Pomnik ten, który ma stanąć na mogile patrjoty ruskiego, wykonał znany zaszczytnie

artysta rzeźbiarz pan Lewandowski. Jest to grupa, wyobrażająca oświatę, a odlana w bronzie. Artysta zrobił model bez żadnego wynagrodzenia i otrzymał tylko 2.000 złr. na koszta pracy i materjału, które, niestety, wszystkiego nie pokryją, a ponieważ komitet, zajmujący się tą sprawą, jest strasznie nieporadny, więc na panu Lewandowskim może się sprawdzić przysłowie polskie: za twoje myto, jeszcze cię obito, czyli jaśniej mówiąc, kto wie, czy artysta polski, nie będzie musiał dopłacić coś za patrjotyzm ruski. Wrzeszczeć, rzucać kalumnie, siać nienawiść — to się bardzo łatwo potrafi, ale gdy przyjdzie okazać w czynie, że się kocha to, co szlachetne i trzeba złożyć jaką ofiarę z kieszeni — to patrjotniki ruskie pochowają się w mysią jamę i prędzej z nich ktoś tam pośle jakie guldeny do pana Kachanowa, na pomnik Murawiewowi, aniżeli da ofiarę na pomnik temu, który był uczciwym człowiekiem i zdolnym ruskim pisarzem.

Pomnik, wykonany przez p. Lewandowskiego, odznacza się wysokiemi zaletami artystycznemi i przynosi zaszczyt talentowi rzeźbiarza. Wystawiony jest na widok publiczny, w gmachu szkoły przemysłowej, przy ulicy Teatralnej.

= Dopełniające sprostowanie, co do teatru w Stanisławowie.

Do tego, cośmy w poprzednim numerze napisali o nowo wybudowanym teatrze w Stanisławowie — winniśmy dodać na podstawie udzielonego nam objaśnienia, że nazwisko Witolda Miłkowskiego było pseudonimem p. Józefa Łapickiego technicznego inżyniera, który wypracował i nadesłał pod tym pseudonimem projekt budowy akceptowany przez komitet. Pan Łapicki przez wrodzoną skromność długo nieodsłaniał przyłbicy — aż dopiero później przyznał się, że był autorem pomienionego planu. Jakkolwiek p. Łapicki jest z zawodu inżynierem technicznym, a więc nie specjalnym architektem, jednak podjął tyle umyślnych studjów, że gmach teatralny Towarzystwa im. Moniuszki przyniešć może zaszczyt wysoko utalentowanemu i biegłemu w swoim fachu, architekcie.

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz Numer 7).

Całem dziedzictwem Stelli była mała mosiężna szkatułka, z kluczykiem na mosiężnym łańcuszku i z cyframi J. B., znaleziona wśród gruzów pogorzeliska, a która, jak przypuścić było można, należała do Boldwooda. Byli nawet tacy, co ją w pomieszkaniu jego poprzednio widzieli: praczka, jedna z sąsiadek i majster ślusarski, który mu zepsuty raz kluczyk do niej naprawiał. Oddano ją lordowi Lashmar, jako opiekunowi sieroty; otworzył ją z żywem zajęciem, przecież choć była napełniona papierami, nie wyszło z nich nic, coby mogło dać wiadomość o rodzinie Boldwooda. Papiery, choć nie były spalone w sposób zwyczajny, tak zostały zwęglone przez upał, wytworzony w skutek pożaru, że się stały nieczytelnymi. Znaki piśmienne ukazywały się jeszcze, ale już nie były czytelne, lękano się dotykać je, aby się w proch nie rozsypały, co byłoby szkodą wielką, bo powinny były dojść kiedyś rąk Stelli w takim stanie, w jakim znaleziono je po pożarze. Spuścizna to jej była i lord Lashmar słusznie zawyrokował, że nie podda ich żadnej próbie odczytania, aż do pełnoletności sieroty. Wtedy ona sama będzie stanowić, jak to najlepiej uczynić będzie można.

Jedynym w szkatułce nieuszkodzonym przedmiotem, była miniatura młodego mężczyzny, malowana na kości słoniowej. Sposób malowania dowodził, że pochodzi z lat dawniejszych, a ciemna cera mężczyzny, rysy twarzy i kształt brody przystrzyżonej w sposób nigdy nieużywany w Anglji, świadczyły, że oryginał miniatury był cudzoziemcem, południowcem. Lashmar własnoręcznie, na kartce pargaminu napisał, że papiery zostały wydobyte z pod gruzów spalonego domu, że nic z nich uronionem nie zostało i że są one, podobnie, jak miniatura i przepalona szkatułka mosiężna, własnością Stelli, według zeznania ludzi, których nazwiska i świadectwa, w obecności odpowiedniego urzędnika złożone, spisał w dalszym ciągu. Zrobił to wszystko, co powinien był uczynić opiekun sieroty, zabezpieczający jedyną jej własność, poczem szkatułkę zamknął do ogniotrwałego skarbca, gdzie znajdowały się najważniejsze dokumenta i najcenniejsze przedmioty rodzinne Lashmarów.

ROZDZIAŁ VI.

Było to w dzień urodzin Stelli, to jest w wilję św. Jana; dzień pierwszy, w którym zaczęła rok dwunasty. Pogoda była, słońce cudownie weszło na błękit bez chmury i dziewczynka obudziła się dnia tego wesołą, jak ptaszek, który śpiewał pod jej oknami wśród bluszczów, oplatających tu stare mury. Czy tak szczęśliwą będzie się czuć, zamykając oczy, czy zachód słońca będzie tak piękny i spokojny, jak było świtanie i wschód jego? O! kto to wie kiedy rankiem, co wieczór przyniesie, kto wie, kto wie?...

Lady Lashmar nie było w domu, była w Londynie, Wiktor zaś w Oxfordzie, gdzie już kończył, właśnie, studja. Wyrósł już teraz i nie chłopiec to był, ale młodzieniec piękny. Przez te sześć lat, nie spędził w Lashmar-Castle więcej nad trzy miesiące czasu, bo jak wiemy, matka go woziła po świecie, aby nabrał pańskiego szyku i wytwornych manier, aby zasmakował w salonowem życiu, wreszcie, aby się pokochał w jakiej młodej pannie z arystokratycznego domu.

Może w dodatku była tu jeszcze jedna przyczyna. Tak nie lubiła Stelli, że byłoby to dla niej ogromną przykrością, gdyby Wiktor polubił ją właśnie, co mogło łatwo nastąpić, gdyby przebywał wakacje w Lashmar-Castle. Brata kochał bardzo, a że młody lord miał wiekuiście przy sobie sierotę, więc Wiktor przebywając często obok niej, mógłby się do niej przyzwyczaić. Dziecko było szkaradne, jak milady utrzymywała zawsze, nie mniej nie chciała tego, aby między Stellą, a Wiktorem przyszło do poufałego przebywania. Dziewczynka z gminu, córka Boldwooda... Lord Lashmar mógł robić, co chciał — nie mogła temu zapobiedz, ale Wiktor nie będzie podzielał jego ekscentryczności.

W skutek tego, Wiktor bardzo mało znał Stellę i nawet bardzo jej nie lubił. Matka tak mu ciągle w uszy kładła, że dziecko jest brzydkie i przewrotnie, że się łasi, jak kot, dla zdobycia sobie łaski swego dobroczyńcy, aż, nie dochodząc prawdy uwierzył temu i nielubił cyganki, jak się nauczył od matki nazywać, Stellę.

Więc też sierota była w zamku, jak gdyby wyłącznie należąca do młodego lorda, a dla niej on tylko jeden istniał. Z dodatkiem Wernera wytworzyło się jak gdyby kółko rodzinne, światek w sobie zamknięty, w którym panowała zawsze najsłodsza harmonja. Urodziny Stelli bywały zawsze wielką uroczystością w tym światku małym. Poszło to ztąd, że wśród swoich wspomnień dziecinnych, Stella opowiadała, jaką to lalkę dostawała zawsze w ten dzień od ojca, jak ojciec prowadził ją na spacer, a potem kolacja stanowiła wspaniałą ucztę. Zapomniała, co w tej przeszłości było przykrością i niedostatkiem, ale pamiętała radości i promienie słońca, któremi darzyła ją miłość ojca i opiekun, który go zastępował, starał się wstępować pod tym względem w jego ślady.

W tym roku przecież zapragnął on, aby ten dzień świąteczny w życiu sieroty stał jej się szczególnie miłym i pamiętnym. Już przestawała być małem dzieckiem i zaczynała się stawać dziewczynką; czuł, że już wkrótce nie będzie jej mógł tak wyłącznie dla siebie zachowywać, że Stella musi mieć kierunek i opiekę kobiecą, bez której obywała się dotąd. Bez tego wychowałaby się zbyt oryginalnie, przytem, jak napomknął mu Werner, za lat parę mogłoby to było stać się, dla ludzi przedmiotem uwag i podejrzeń szkodliwych dla Stelli. Gdyby nie niechęć ze strony macochy, Lashmar byłby wyszukał Stelli jaką wykształconą guwernantkę, któraby uzupełniała w jej wychowaniu dotychczasowy brak niewieściego żywiołu, byłby sprowadził nauczyciela muzyki i nauczyciela malarstwa i byłaby się przy pomocy jego i Wernera kształciła, nie opuszczając Lashmar-Castle. Ale poparcie milady było koniecznem dla przyzwoitości, a że otrzymanie go było prawie niepodobnem, młody opiekun myślał ze smutkiem, że wkrótce będzie trzeba oddać Stellę na ponsją.

Wróci wtedy dopiero, gdy już będzie dorosłą panną. Macocha musi wtedy przystać na dawanie jej choć jakiegoś cienia, jakiegoś pozoru opieki, a potem... a potem ktoś ją pozna, pokocha, wzajemność otrzyma... (tu młody lord westchnął z cicha) i zostanie mu tak wziętą, jak córki są zabierane rodzicom, ale jak córka dla ojca nie przestanie mimo to być mu źródłem pociechy, bo istotą kochaną i kochającą go wzajem. Będzie to kwiatem jego późnego wieku... jej mąż, jej dzieci staną mu się drogiemi również, a może zamieszkają przy nim, jak przy ojcu.

Jeszcze raz westchnął; myśl o koniecznem rozstaniu się ze Stellą bolała go bardzo, myślał sobie przytem, że i jej dobre, tkliwe serduszko też przejdzie przez ból rozstania. Będzie starał się wytłómaczyć jej to i przedstawić jako konieczność, na którą młody rozumek łagodnego dziewczęcia zgodzi się bez buntu. Nie będzie dotykać tej strony przedmiotu, że mogłoby być inaczej, gdyby lady Lashmar była jej przychylniejszą, powie jej tylko, że tak potrzeba, że tam będzie miała weselsze życie, wśród młodych jej wieku towarzyszek.

Uczuł przytem zazdrość prawie, tak jak wtedy, gdy myślał o człowieku, który kiedyś ją pokocha i pokochanym przez nią zostanie. Rozmyślając tak, doszedł do przekonania, że może ona jemu była potrzebniejszą, niż on jej. Jego częste bóle głowy i nerwowy rozstrój wprawiały go w stan znękania a nawet upadku ducha, tęsknot, żalów bez celu i przedmiotu określonego i wtedy Stella, skoro tylko podrosła troszkę, była dla niego tak dobrą i troskliwą opiekunką, jakiejby nie dostał za żadne pieniądze. Tak mu patrzyła w oczy, tak mu przykładała chłodną rączkę na rozpalone czoło, tak wiernie siedziała przy nim



— Nad czem tak myślisz, moja kochana — cóż tam jest w tym liście?...
— Nie ma nic — i, właśnie, myślę nad tem, żeby było coś, jak mu odpiszę...

godziny całe, pamiętała podać wczas oznaczone jakieś proszki, lub krople uspakajające, że samo uczucie słodkiego wzruszenia, jakie mu to sprawiało, leczyło go i dźwigało orzeźwiająco. Nie znał matki, nie miał siostry... lady Lashmar spełniała swój obowiązek, ale Stella!... Stella tak miękko, tak wdzięcznie okazywała mu przywiązanie! Kobieca zdolność kochania i kojenia cierpień już się objawiła w dziewczynce. Lashmar przypomniał sobie z uśmiechem, jak mała umiała w takich chwilach rządzić Wernerem. — Idź pan... chodź pan... podaj... weź! A stary też uwielbiał ją, bo w dodatku, co to była za sławna uczennica!...

I o tem myśląc Lashmar, westchnął Jakąby to było dlań rozkoszą rozwijać od początku do końca ten umysł niepospolity, zadziwiająco pojętny i nauki żądny!

Kiedy mylady nie było w domu, lord Lashmar kazał sobie podawać śniadanie w saloniku obok biblioteki, a wtedy Stella i Werner siadali z nim do stołu.

W dniu tym uroczystym zasiedli we troje w saloniku obok biblioteki, gdzie był stół zastawiony, a zastawiony dziś ze szczególną ostentacyą. Było tu mnóstwo kwiatów w najpiękniejszych i nie codzień używanych japońskich wazonach, były paradne srebra i stare kryształy weneckie. Śniadanie zastawione było nie według dyspozycyi, jakąby wydała lady Lashmar, ale według gustów solenizantki, która zaczęła się sama śmiać, widząc na stole tyle rozmaitych przysmaczków.

— Ale opiekunie — zawołała, bo tak Werner nauczył ją nazywać lorda Lashmar — czyś to ty kazał podać to wszystko? Nie wiem, od czego będziemy zaczynać!

Lord Lashmar nie miał rano apetytu, ale w każdym razie byłby dziś dla przyjemności Stelli jadł tylko to, co ona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Bywa różnie na świecie...

Są ludy, jak gołębie — są jak lwy straszliwe:
Gołąbkom arka w sercu — dziewic dłoń na grzywę...
I oto będą lube ni-to druhy bratnie,
Choćby przyszło wpaść z niemi i w piekielną ma-
[tnię —
Bo ludy, jak gołębie są, lub lwy straszliwe...

Oprócz tych, z łonem lisa żyją i lamparta:
Gdy z kotliny — i z niemi drużba jest coś warta...
Ugłaskane poczciwą, karmicielką dłonią,
Za łupem, w swojej kniei... rzadko ci pogonią —
Wszak wdzięczność i u lisa znajdziesz i lam-
[parta?...

Aliści niezbłagane wskróś — narody-żmije:
Że wstrętne i plugawe — to się u stóp wije —
I szalonego trzeba by podał im ramię,
By gadzinę przytulił, co swą niemoc kłamie...
Bo u stóp nieszkodliwe są narody-żmije!..

Fr. Lasocki.

Historyjka o 99 guldenach

opowiedział: *Faust.*

Parchów jest pięknem i pobożnem miasteczkiem. Parchów mieści w sobie około pięć tysięcy żydków, a są to żydzi w prawdziwem tego pojęcia znaczeniu. Żaden z nich nie strzygał nigdy swojej brody, żaden z nich nie nosił surduta, lub pantalonów, żaden z nich nie znieważył jeszcze szabasu, bądź przez opuszczenie służby bożej, bądź przez ciężką, lub lekką pracę, bądź przez jeżdżenie furą, lub konno, bądź przez palenie fajki, lub cygara i t. d., żaden z nich w życiu innego jadła nie kosztował, jak czyste, koszerne potrawy.

Parchów jest pod tym względem miastem wzorowo-żydowskiem.

W każdem mieście znajdziesz bogatych i biednych, mądrych i głupich. Jak to wszędzie między ludźmi, tak i w Parchowie.

W tej historyjce występują tylko trzy osoby — bogaty, biedny i rabin. Okaże się ku końcowi, kto był mądry, a kto głupi...

Otóż, bogaty nazywał się Icko, a biedny Mordko. Mordko był rzeczywiście strasznym nędzarzem. Brakowało mu często i kęsa chleba, by głód mógł zaspokoić. I Mordko niegdyś lepsze czasy widział, stracił, jednak, wszystko i zeszedł, jak to mówią, na psy...

Było to w miesiącu lipcu. Skwar słońca dokuczał ludziom, wszystko, co żyło, szukało cienia. I biedny Mordko go szukał i znalazł pod parkanem jednego ogrodu. Tam rozłożysta, właśnie w pełnym kwiecie znajdująca się lipa, ramionami swoimi dość daleko sięgała, aby i żebrakowi nieco orzeźwiającego cieniu udzielić.

Mordko rozciągnął się, jak długi na murawie pod lipą. Patrzał on w błękitne niebo i zrobiło mu się, jakoś lżej na sercu. Zaczął rozmyślać, rozpamiętywać nad swoją dolą i wielkością Boga, zaczął mówić sam do siebie i coraz głośniej, coraz dobitniej monologował:

— Ach, jakież to niebo prześliczne! Ale jak to dopiero tam w środku wyglądać musi! No, zobaczymy kiedyś wszystko. Ja przecież z wszelką pewnością do nieba pójdę, bom biedny, bardzo biedny, nie użyłem tego świata, użyję drugiego.

— Tak, tak, niebo będzie nagrodą moją za ziemskie ciężkie trudy, które tu codziennie znosić muszę. Tam Bóg wszechmocny mieszka, Bóg, aniołowie, prorocy i męczennicy, tam i Kiwon Boży przebywa, a posadzą mnie pewnie obok niego, bo i ja męczennik, jak i on. A podadzą nam po sporym kawałku tej olbrzymiej ryby i tego olbrzymiego wołu — oj, będzie to uczta, wielka uczta... aż mi ślinka cieknie!

— Ale cóż mi potem, kiedy mi się teraz niezmiernie jeść chce, a centa przy duszy nie mam? Boże kochany, Tyś wielki, niezmierny, wszechmocny, dlaczego więc nie chcesz mi dopomódz? Dlaczego, dlaczego? Wszak Tobie to tak łatwo..

— Racz, proszę, wejrzeć na żydka nędznego, na sługę Twego wiernego, który Cię kocha i uwielbia bez granic, bez końca — dopomóż mu! Rozkaż tylko, kiwnij palcem — a deszcz dukatowy lunie na niego i zrobi go w okamgnieniu panem miljonowym.

— Ale tak między nami powiedziawszy, miły Boże, na cóż mi też tak wiele, tak dużo dukatów? Człek by nie wiedział, co z taką kupą złota począć, człek by może i rozum stracił, poprostu zwarjowałby. Doprawdy, nie żądam tak ogromnego majątku i z mniejszej kwoty byłbym zadowolony. Sto guldenów dosyć, wcale dosyć, a mogą być i papierki. Do mojego szczęścia nie wiele potrzeba. A no poratuj mnie Panie!

Biedny Mordko począł rachować, a wyjąwszy kawałek kredy z kieszeni, pisał i mazał cyfry na dziurawej podeszwie swego obuwia.

— A więc kramik. Czynsz musi być z góry zapłacony i wynosi 25 guldenów za pół roku. Mówiłem już z gospodarzem. Dalej towar, a mianowicie: cukru za tyle, kawy za tyle, soli za tyle, pieprzu i innych korzeni za tyle, masła, sera, jaj, mąki, śledzi, smoły, mydła i t. p. za tyle — i basta. Kramik urządzony — *sioj!...*

Jakem tu wyrachował, wynoszą te wydatki sto guldenów, nie mniej więcej, ale akuratnie sto guldenów. O dobrze ja rachowałem, ani centa nie opuściłem, za to ręczę.

— O, jakby to pięknie było, gdyby mi się dzisiaj te sto guldenów przez Twoją

W salonie.



— Więc pan syna swojego, sam osobiście wprowadza na salonowe tory...
— Tak jest — są śliskie — nie zawadzi doświadczona ręka...
— Pierwszy raz słyszę, aby mężczyzna upadał na takiej ślizgawce..
— Ja tylko będę strzegł, aby syn mój nie schylał się po upadłe anioły...
— Dlaczego?..
— Bo nie podniesie i sam przewrócić się musi...

łaskę dostały, wielki Boże. Począłbym handlować, spekulować i wyszedłbym wkrótce na człowieka. Mocny Boże, okaż Twoje dobre, ojcowskie serce, rzuć mi tę bagatelę z nieba!

— Nie żądam więcej, ale też nie mniej, jak sto guldenów. Wszak widziałeś i słyszałeś, wszędzie obecny Panie, że dobrze rachowałem. Jeżeli mi tylko jeden gulden brakować będzie, nic nie przyjmę. Dziewięćdziesięciu dziewięciu guldenów nie przyjmę,— daję moje słowo!

Zamilkł, jakoby oczekiwał odpowiedzi z nieba. Dał się, rzeczywiście, słyszeć jakiś szmer za nim, liście lipy zaszelesciały, a w najbliższej chwili spadł z góry biały pakiecik do nóg zdziwionego żyda.

Zerwał się Mordko co prędzej z murawy, a uchwyciwszy pakiecik, otworzył go.

- Patrzcie, rzeczywiście, guldeny papierowe!...

Zgłupiał na razie i stał przez chwilę, jak odurzony, nareszcie, począł liczyć, naślinąwszy palce.

— Dziewięćdziesiąt dziewięć! wykrzyknął. Dziewięćdziesiąt dziewięć tylko! A któżby się tego był spodziewał!...

— Ach, domyślam się, wiem, chciałeś mnie na próbę wystawić Stworzycielu świata, chciałeś się przekonać, czy Twoim darem nie pogardzam. Nie, nie, nie pogardzam, nie jestem niewdzięcznym, przyjmę i 99, a guldena brakującego, później dostanę... z procentem. Dziękuję Ci mocny Boże i za to, dziękuję Ci z całej duszy!... A co do rachunku mego, to za guldena mniej jajek kupię, zaśmierdziałyby się w takim upale... Sioj!...

Wyrzekłszy to, wetknął pakiecik z zimną krwią do kieszeni i chciał odejść.

W tem usłyszał wołanie.

— Mordko! Mordko! Zaczekajcie cokolwiek, proszę was, zaczekajcie no!

Obejrzał się Mordko i zobaczył bogatego Icka, który, jak jeździec na koniu, na parkanie swojego ogrodu siedział.

— Czego wy odemnie chcecie, panie Icku? zapytał Mordko.

— Pieniędzy moich.

— Jakich pieniędzy?

— Wy dobrze wiecie jakich.

— Nie rozumiem was, panie Icku.

— Jakto nie rozumiecie?

— O jakich to pieniądzach mowa?

— O tych, któreście, właśnie, do kieszeni schowali.

— To moje pieniądze, Bóg mi je z nieba rzucił!

— Bajki! Ja je rzuciłem, chciałem z was zażartować, chciałem się przekonać, czy żyd słowa dotrzymać potrafi.

— Pfe! rzekł Mordko, splunął i odszedł.

Ale bogaty Icko skoczył z parkanu i stanął tuż przy żebraku.

— Oddacie mi moje pieniądze, czy nie?

— Nic nie oddam, boście mi nic nie dali.

— To ja rzuciłem te pieniądze!

-- Bóg rzucił...

— Mordko, przyjdźcież do rozumu! Czy wy, doprawdy, myślicie, że Bóg w naszych niewiernych czasach jeszcze cuda tworzy?

— Nietylko myślę i wierzę, ale wiem z pewnością. Widziałem, jak się niebo otworzyło, że z niezmiernego blasku mało nie oślepłem, widziałem, jak pakiecik, niby ptaszek biały, z wysokości do nóg moich zleciał, widziałem...

— Niceście nie widzieli, to kłamstwo, to urojenie, głupi warjat z was!

— Muszę i ja zakończyć tę głupią sprawę, bo dłużej tu na słońcu nie wytrzymam. Możecie iść zkądeście przyszli, a ja was zaskarżę, zapozwę was i każę zamknąć w kozie!...

— Róbcie, co chcecie, ja się waszej groźby nie boję. Widzicie go! Ja płaczę, rozpaczam, narzekam, żalę się, modlę się i błagam Boga, Bóg, nareszcie, wysłuchuje mnie, lituje się nademną i okazuje cud niesłychany — a tu człowiek ten bezczelny, który przypadkiem w pobliżu bawił i wszystko podsłuchał, zjawia się na spólnika. Nie jest że to zgrozą?! Uchodzi to dla takiego bogacza, jak wy, panie Icko? Uchodzi to dla niego, aby z żebrakiem się dzielić pragnął?... Pfe, panie Icku, pfe! To nieładnie! Ale nie myślcie sobie, że ja taki głupi, jak wy mądry. Oj, pomyliliście się bardzo, bo to i ja nie w ciemię bity!

— Dobrze więc, zawołał Icko — jeżeli po dobremu ustąpić nie chcecie, to pójdziemy do rabina.

— Dobrze, z największą chęcią pójdę do rabina, ale...

— Tu nie ma żadnego „ale" i żadnej wymówki. Musicie zemną iść teraz zaraz, w tej chwili, a jeżeli się wahać będziecie, to zawołam o pomoc.

— Ale pójdę, panie Icku, jednak...

— Powiedziałem raz, że żadnej wymówki słyszeć nie chcę.

— Posłuchajcie no. Godzisz to się w tej poszarpanej odzieży przed rabinem stanąć?

— Dlaczego nie. Nasz rabin przecież wie, co wy za jeden.

— Nie wie jeszcze, panie Icku. Nie jestem więcej tym, którym przed pół godziną byłem. Byliście świadkiem cudu Bożego, jestem teraz całkiem innym, a mogę powiedzieć wybranym człowiekiem i w tych szmatach do rabina nie pójdę...

Icko pomyślał cokolwiek.

— Dobrze, rzekł. — Obowiązuję się waszej ambicji zadość uczynić. Chodźcie do mego domu, pożyczę odzienia...

— Przyjmuję, z podziękowaniem — przyjmuję...

Poszli i stanęli niebawem w pięknych pokojach bogatego Icka. Tu otworzył bogacz szafę, wyciągnął spodnie i bekieszę i rzucił je żebrakowi pod nogi...

— Ubierajcie się żwawo, bo mój czas drogi, a wasze łachy niech tam za piecem odpoczną.

— Panie Icko, najprzód koszulę.

— Pocóż wam koszuli, wszak rabin jej widzieć nie będzie.

— Lecz Bóg wszystko wie i widzi i pewnie nie chce, żebym w brudnej, podartej i takiej, co pan Icko wie, nie samej koszuli, poszedł... To nie idzie...

Icko dał czystą koszulę...

Mordko wystroił się, paradnie od czuba aż do pięty.

— Gotowiście więc? zapytał Icko.

— Gotów, możemy iść.

— Chodźmy!

— Gdzie moja laska?

Mordko zaczął szukać po wszystkich kątach.

— Zapewne zostawiliście ją na dworze.

— Tak jest, została pod parkanem, gdzie leżałem. Lecz to, właściwie, nie laska, tylko krzywy kij żebracki — wezmę waszą laskę.

— Ale laska moja ma srebrną gałkę.

— Cóż z tego? Odzienie wasze, które mam na sobie, przecież więcej warte, jak ta gałka?...

Poskrobał się Icko i wręczył żebrakowi swą laskę ze srebrną gałką.

W dziesięciu minutach stanęli obaj przed rabinem. Począł Icko rozpowiadać, jak się rzecz ma.

— Słyszę, rabinie dobrodzieju, jak z Bogiem rozmawia, jak na swoje życie przysięga, że mniej, jak sto guldenów nie przyjmie, byłem więc pewny, że dziewięćdziesiąt dziewięć na miejscu zostawi i, że sobie takowe potem podniosę. Chciałem się tylko przekonać, czy też żyd słowa danego dotrzymać potrafi, zwłaszcza, że to słowo samemu Bogu dane było.

Rabin wysłuchał Icka spokojnie, uśmiechnął się, otworzył gruby foljant na stole leżący, przeczytał kilka zdań hebrajskich i rzekł:

— Drogi Boskie są niezgłębione. Wszechmocny udziela ludziom pomocy, a ludzie nie pojmują sposobu tej pomocy. Dziwują się, nie wiedząc, że wszystko, co na świecie się zdarza, z woli Bożej wypływa...

— A cóż ty mówisz? zapytał Mordka.

— Ja mówię, że Bóg jest najlepszym, najdobrotliwszym, najmiłosierniejszym Bogiem, ja mówię, że Bóg mą modlitwę wysłuchał i mi dopomógł, ale mówię także, że żyd ten, który dotąd był bardzo rozsądnym człowiekiem, zapewne przez noc rozum stracił, jeżeli twierdzi, że on, a nie Bóg najłaskawszy mi te 99 guldenów ofiarował. Tem samem prawem, jakiem mówi, że to jego pieniądze, mógłby także powiedzieć, że to jego bekiesza, którą mam na sobie.

— A juści moja, zawołał Icko.

— Słyszycie dobrodzieju. Moja bekiesza — jest jego!... Nie warjat to?

Rabin spojrzał na Icka.

— Przecież ja wam tę bekieszę przed pół godziną wypożyczyłem.

— On, rzeczywiście, zwarjował i jest w stanie powiedzieć, że i spodnie jego.

— Moje, moje, ma się rozumieć, że moje

— A co mądry rabinie, nie zwarjował on?...

— Dalibóg, że moje! Wszystko moje, co Mordko ma na sobie — wołał Icek.

Rabin spoglądał to na tę, to na tamtą stronę, a otworzywszy usta, chciał coś zapytać Icka, ale Mordko co rychlej wyrzekł:

— Nie mówcie do niego dobrodzieju. Nie przystoi dla was wcale z głupim rozmawiać. Założyłbym się, że powie także, że kapelusz na mojej głowie do niego należy.

— Ma się rozumieć — wszystko!.. I ta laska ze srebrną gałką — także moja!...

— Co to gadać z głupim człowiekiem. Moja głowa, z przeproszeniem — parszywa. Mówcie sami mądry rabinie..

— Dobrze, rzekł rabin.

— Ale rabinie, sprawiedliwy rabinie — to oszust ten Mordko!..

— Basta! zawołał mąż uczony — Panie Icek — zapewne jesteś trochę podchmielony — nie godzi się, jednak napadać na drugiego prawowiernego żyda... Idź w spokoju Mordko!... Twoje są pieniądze, twoja odzież, twoja laska ze srebrną gałką! — Wszystko twoje, co masz przy sobie i na sobie!..

Mordko po wyroku rabina zniknął i nigdy go już więcej nie widziano w Parchowie.

Oszczędność przedewszystkiem!

(Ballada chińska.)

Nad żółtem morzem, w chińskiej dzielnicy
Mieszkał mandaryn bardzo bogaty,
Miał góry złota, a w okolicy
Cztery plantacje pysznej herbaty.

Czy to był Mandżur, Mongoł, z Tybetu,
Siamczyk, czy jego brat z krwi i kości —
Ssał, operował wszystkich zarówno,
Zabijał pracą, darł bez litości.

Obce mu były: zwykła uczciwość
I własność cudza, wstyd i sumienie;
Patrzał by obcą karmić się pracą,
Znojem biedaków nabić kieszenie!

Lecz pragnął więcej. — Wnet pomysł nowy
Zrodził mózg jego znany z mądrości;
Za mało dają na głupich — łowy,
Trzeba coś zyskać *na oszczędności!*

Połowę ludzi zatem odprawił,
Drugiej połowie podwoił pracę,
I odtąd w biurach pracownik trawił,
I dnie i noce za nędzną płacę.

Aż gdy jednego zabił robotą,
Dowiódł, że nie jest obcym litości —
Przyparty sądem dał coś na pogrzeb
Lecz błagał o wzgląd... *dla oszczędności!*

Dziś mu się pysznie wiedzie na świecie;
Syt już zaszczytów, bogactw i sławy —
Rano „*szwindluje*“ dalej, dla zysku —
Wieczorem, aby... nie stracić wprawy!

Teatr — koncerta — widowiska.

Koncert Mieczysława Kamińskiego odbył się dnia 21. lutego w sali tutejszego Towarzystwa muzycznego i zgromadził dość liczną publiczność. — Ze szczególnym afektem oklaskiwano europejskiej niegdyś sławy tenora, którego głos jeszcze dziś, jest pełen siły i imponującej wyrazistości, choć, brak mu, naturalnie, świeżości — trudno — młodym wiecznie nie można być, ale nie każdy potrafi być starym... W koncercie przyjmowała udział śpiewaczka scen włoskich pani Torrentini-Skomorowska, obdarzona obszernym mezzo-sopranem, oraz dwie amatorki: pani Wołoszczakowa, śpiewająca sopranem i panna Weithorn, dość biegle grająca na skrzypcach.

O wznowionych *Opowieściach Hoffmana* operecie Offenbacha, o której się już tyle razy pisało, tyle tylko mamy do zanotowania, że wystawiona była z wielką starannością i, że pan Zegarkowski, śpiewający w niej po raz pierwszy trudną partję basową, zasłużył sobie na zupełne uznanie najsurowszej krytyki, traktując rolę umiejętnie i używając pięknego głosu z talentem artysty.

Na szarym końcu, komedja w 4 aktach Oskara Blumenthala, z niemieckiego tłomaczona, przedstawioną została po raz pierwszy na lwowskiej scenie, w dniu 27 z m. Sztuka ta niepozbawiona pewnego pisarskiego talentu, jest, w ogóle, utworem miernej wartości, a jakkolwiek znajdują się w niej sytuacje, dosyć oryginalne, nie wychodzi po za obręb średnich utworów niemieckich, które publiczność nasza dość zimno przyjmuje. Na naszej scenie ów Blumenthala *Szary koniec*, odegrano doskonale. Przedewszystkiem panna Pankiewicz, wysunęła się naprzód grą swoją, w której było wiele uczucia, miękkości i rzewności.

Pani Kwiecińska, w roli rezolutnej i pragnącej wrażeń mężateczki, oraz panna Czaplińska, jako rozpieszczone i kapryśne dziecko, któremu nic odmówić nie można, — były wyborne.

P. Chmieliński, grający doktora, którego szczęście, los ciągle, właśnie, na „szary koniec“ usuwa, nie miał wielkiego pola do okazania swego talentu — wszystko, jednak co tam miał do zrobienia — zrobił dobrze.

Resztę wypełnili staranną grą pp. Feldman, Trapszo i Woleński.

Przygodny.

W znanym fragmencie scenicznym: *Tancerka*, napisanym przez Kazimierza Kaszewskiego ze znanego także dramatu Cossy — debiutowały d. 29. lutego na naszej scenie dwie młode warszawianki: panna Aniela Bogusławska i panna Wanda Stępniewska — pierwsza w tytułowej roli, druga, jako pogardzona kochanka. Nie łatwo skłonni do scenicznych zachwytów, patrzyliśmy z natężoną uwagą na grę tych debiutantek, ze szczerą przyjemnością... Bardziej równie dodatnich warunków w debiutantkach, dawno nie mieliśmy sposobności widzieć. Panna Bogusławska, okazała niepomierną skalę rzetelnego uczucia i dużo, bardzo dużo, wdzięku artystycznego, przytem organ mowy miękki, rzewny, a trącający o głębszą — nutę, daje niepłoną nadzieję, że będzie z niej artystka o niezwykłym talencie i horyzontach. Zbytnia pospieszność dykcji przy zmianach pewnych psychologicznych momentów, była, co prawda, niepotrzebnym dysonansem, ale ta drobne afektacja, jest przelotną naleciałością. po której śladu nie będzie, gdy nastąpi zupełne opanowanie roli...

Panna Stępniewska, jest aspirantką na koturnowe, lub silnie zabarwione dramatycznością, role — organ głosu potężny, głęboki i bardzo rozległy — nie jest on jeszcze całkowicie ujęty w karby artystycznej rutyny, ale stanowi materjał tak bogaty, że można z niego złoto wydobywać... W pojęciu postaci. obie debiutantki, okazały się myślącymi artystkami. Uczennice pana Kotarbińskiego znanego warszawskiego artysty i literata, przynoszą mu zaszczyt.

Pan Zawadzki grał rozpustnika — „artystę“ — właściwie kawałek Nera. Prześliczna dykcja, gra pełna szlachetnych znamion, głębokie wniknięcia w charakter postaci i roli, cechowały grę tego, niepospolitego artysty, którego talent i indywidualność zużytkować dobrze i we właściwym kierunku, jest i będzie zawsze ogromnym pożytkiem dla sztuki...

Harmonijnej całości małemi rolkami, dopełniali: pp. Feldman, Szobert i Milewski.

Z krakowskiego świata artystycznego.

Zawiązany za inicjatywą dra Jordana, komitet pań, założył kuchnię dla kilkuset ubogiej dziatwy — gdzie dostają ciepłe objady — otóż na cel ten szlachetny, urządzono tu dwa wieczory jasełkowe, dnia 2. i 7. lutego w sali

hotelu Saskiego. Żywe obrazy na temat jasełek, układu artystów pp. Romera i Lisiewicza z współudziałem dzieci, bardzo się tu podobały, gdyż rzeczywiście układ był śliczny. Na wstępie tego wieczorku muzykalnego, wygłosiła jedna z młodych panienek wiersz okolicznościowy pani profesorowej Domańskiej, pod tytułem „Jasełka“:

Czy są na świecie barwy dość czarne,
By odmalować to były godne,
Co sercu mówią dwa słówka marne,
Dzieci głodne!..

Czy są na świecie serca z kamienia,
Czy są na świecie oczy wyrodne,
By patrzeć mogły bez łez, bez drżenia,
Na dzieci głodne?

Przed wami staję — ludzie bogaci.
Ulżyć tej nędzy w waszej możności,
W imieniu małych sióstr mych i braci
Błagam litości.

Dzieło zaczęte, pełńmy wytrwale,
Niech biedne dzieci naszego grodu —
Pomocą naszą wspierane stale,
Nie znają głodu!...

Część muzyczna wieczorku była wspaniała. Uwerturę z „Egmonta“ Beethovena, odegrała orkiestra 13. pułku. „Przed krucyfiksem“ Faure'go solo bas i chóry „Lutni“ z towarz. orkiestry, kwartet Schumana na fortepian, skrzypce, altówkę i wiolonczelę odegrany poprawnie przez panią Zborowską i pp. Hocka, Ostrowskiego i Cieszkowskiego. Na zakończenie: „Pieśni staroniderlandzkie“ Kromsera wykonał świetnie chór „Lutni“.

Dnia 12. b. m. odbył się tu koncert p. Domaniewskiego, profesora tutejszej szkoły muzycznej, w której to szkole zajmuje p. Domaniewski, jako wykonawca wybitne miejsce. Program złożony był z samych utworów fortepianowych. Artysta grał cały szereg od Bacha, Haendla, aż do... Domaniewskiego.

W teatrze jest obecnie czas benefisów. Rozpoczął go, jak już donosiliśmy, dzielny nasz reżyser p. Żelazowski, poczem nastąpiły benefisy p. Sobiesława, Riegera, pani Adeli Żelazowskiej: „Sprawa Clémenceau“, dramat w 6ciu odsłonach Aleksandra Dumasa, panny Wojnowskiej: „Uwielbiany morderca“ i dnia 20. b. m. benefis pani Siennickiej: „Koniec Sodomy“ Sudermana.

W piątek dnia 19 lutego dało krakowskie Towarzystwo śpiewackie „Lutnia“ w sali Sukiennic trzeci wieczór muzyczny dla członków Towarzystwa. Program i wykonanie zadowoliły najwybredniejszych znawców, a jedyny zarzut, jaki uczynić musimy, był nadzwyczajny ścisk i brak miejsca. Słuchaczy było przeszło 800. Na przyszłość, by uniknąć powtórzenia się tego ścisku, uradzono, by nie wydawać tyle biletów i każdy członek wspierający otrzyma tylko jeden bilet wolny. Ze wzrostem nadzwyczajnym tego Towarzystwa okazało się, iż wszystkie sale w Krakowie są za szczupłe na wieczory „Lutni“. — Wracając do koncertu, musimy powiedzieć, że chóry „Lutni“ świetnie się spisały. Pani Łepkowska, która u nas po raz pierwszy publicznie wystąpiła, odśpiewała 3 utwory z takim wdziękiem i zrozumieniem, iż oklaskom nie było końca; głos dźwięczny i metaliczny. Również i panna Wężowicz uczennica profesora Bylickiego, zasługuje, na nasze zupełne uznanie — widać talent i znać dzielną, doświadczoną rękę, która tym talentem pokierować umiała. Do urozmaicenia wieczoru przyczyniła się deklamacja p. Dzirytówney. Trio Volkmana i Suitę Riosa na skrzypce i fortepian, wykonano wzorowo. Partię fortepianowy grał profesor Bylicki, skrzypce Hoch, a wiolonczelę w trio Sandoz.

Maurycy Sieber.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Demon. Otrzymaliśmy — dziękujemy — przeczytamy, i co się da, zużytkujemy.,

Pan F. we Lwowie. Prosimy wszelkie artykuły pisać tylko po jednej stronie papieru.

Panna na wydaniu. Sprawozdań o balach i wieczorkach nie umieszczamy — szkoda czasu i atłasu. Co zaś do balu lekarskiego — to nie było sprawozdania, lecz nasz sąd o nim.

Kawaler bez miejsca. Ożeń się pan, jeżeli możesz, a literaturze daj pokój.

Pan W. G. w R. Było już dosyć o tym panu Fechtdegenie.

Xx. Xx. To paszkwil — nie wydrukujemy.

Panna Lola. Wierszyk dość zgrabny — ale beztreściwy — nie będzie umieszczony. — Napisz pani co innego.

Autorowie wierszy: „Chyba nic“, „Gnuśni“, „Kawałek serca“ i „Młodzi“ — utwory panów drukowane nie będą.

Szanowna Administracja „Straży Polskiej“ w Bydgoszczy. Z propozycji korzystać nie możemy. Poznańskie, w ogóle, prawie nie bierze żadnego udziału w prenumerowaniu pism perjodycznych poza granicami państwa pruskiego wychodzących — więc wszelkie wydatki, mające na celu pozyskania tam abonentów, są niczem innem, jak niepotrzebnem wyrzucaniem pieniędzy.

Nadesłane.

Sztuczne

Zęby i Szczęki,

jako też:

wszelkie reperacje zębów sporządza się podług najnowszego systemu trwale i tanio w Atelier

M. Reischera

we Lwowie ul. Wałowa l. 15.

5572—12—1.

ANTONI ROZMANIT

KRAKÓW.

Fabryka parowa

Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej

w Rakowicach pod Krakowem

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykorji i sztucznej Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).
Surogat Kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską Rozmanita.
Cykorję krakowską gorzką.
Kawę figową.
Cykorjową Kawę perłową.
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. 5439 st. — 5

Zalecając wyroby mojej fabryki przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkta zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

BULJON

wyrobu

Kazimiery Matczyńskiej

odznaczony wielkim medalem bronzowym na wystawie w Krakowie 1891 r.

Nr. 00. z truflami Ko 7 złr. 50 ct.
Nr. 1. z zwierzyny i drobiu „ 6 „ 50 „
Nr. 2. doskonały „ 5 „ 50 „

Dla chorych buljon z samego najdelikatniejszego ptactwa i drobiu, bardzo przez lekarzy polecany, po 10 złr. kilo. (5374-st.-25).

Ekstrakt mięsny na sposób Liebiga, słoiki po 70 ct.

Sprzedaje Zarząd dworu Łapszyn, p. Brzeżany i Dom komisowy Makowiecki i Spółka w Tarnopolu.

Niniejszem mam zaszczyt uprzejmie donieść, iż istniejący od r. 1855 **skład zegarków** ś. p. ojca mego, otworzyłem na nowo z dniem 1. Październ ika 1891, **przy ulicy Akademickiej l. 3 we Lwowie**, pod firmą:

Tadeusz Miłaszewski.

Zaopatrzywszy skład mój w wielki wybór zegarków kieszonkowych, zegarów pendułowych i stołowych, potrafię wszelkim żądaniom łaskawych P. T. Odbiorców w zupełności, zadość uczynić.

Polecam również moją pracownię, w której naprawy szybko i sumiennie pod gwarancją uskuteczniam.

Z wysokiem poważaniem:

Tadeusz Miłaszewski

we Lwowie.

(5471-12-11).

J. WYCHERA

Fabryka machin i odlewarnia żelaza

we Lwowie, ul. Gródecka l. 47.



Poleca swoją nowo urządzoną **odlewarnię żelaza** podług najlepszego i najnowszego systemu do wykonania różnych odlewów dla machin i dla celów budowniczo-przemysłowych, które podług moich lub przesłanych modelów i najlepszego domieszka surowca, wykonuje. **Warstaty machin i warstaty prywatne** mogą mieć także tanie odlewy kompletnych machin akuratnie podług moich modelów. Na żądanie zostają lane części żelazne w moim warstacie toczone i borowane. Również polecam z mego obficie zaopatrzonego **składu, machiny rolnicze**, które za staranny i dobry wyrób uznane. Z powodu zmiany urządzenia, jest w mało używanym stanie tanio do odstąpienia angielska stojąca **lokomobila** czterokonna, amerykańska **hyblarka**, **piła cyrkularna i piła do wyrzynania** (Laubsägemaschine). **Stara leizna** zostaje zawsze we wzajemny rachunek przyjęta, lub podług najwyższej ceny kursu kupiona. 5561-4-3.

Założono w roku 1837

Kompletne

Wyprawy ślubne

od najskromniejszych do najbogatszych, po cenach stałych, najniższych, poleca magazyn

I. Drexlera i Synów

we Lwowie plac Kapitulny l. 2.

Płótna z fabryki Langera i Synów, Stołowa bielizna z fabryki Regenharta, Łóżka żelazne z fabryki Quittnera, Dywany z fabryki Grossleja z Halifax, oraz wszelką Pościel t. j.: Kołdry, materace włosienne, poduszki, wkładki sprężynowe własnego wyrobu.

5535—12—7.

Założono w roku 1837

Tokajski Cognak

Odnośnie do poniższych świadectw, pozwalam sobie Szan. P. T. Publiczności nasz Cognak tokajski jak najlepiej zalecić, który we wszystkich główniejszych handlach win i delikatesów, jakoteż i aptekach dostać można i upraszam przy kupowaniu na powyższą markę ochronną uwagę zwrócić. Zamówienia próbne 6—12 lub 24 flaszek wysyła się w skrzynkach oryginalnych z głównego składu. — *Cenniki i prospekta gratis i franco.*

Z głębokim szacunkiem

Jener. repr. pierwszej fabryki tokajskiego Cognaku w Tokaju.

A. Rosenthal

Lwów ulica Skarbkowska liczba 2.

Do Pana A. Rosenthala, Jener. reprez. pierwszej fabryki Cognaku tokajskiego we Lwowie.

Przysłany mi Cognac zbadałem i skonstatowałem, że tenże z powodu przyjemnego aromatu i bardzo przyjemnego smaku do użycia dla chorych, którym używanie Cognaku ordynowane, bardzo się nadaje, tem bardziej, że po użyciu togoż nie daje się uczuwać ani darcie w gardle, ani też inne żadne boczne działanie.

Lwów dnia 31. grudnia 1891.

Dr. Link m. p.
lekarz pułkowy i operator.

Do Pana A. Rosenthala, jener. reprez. pierwszej fabryki Cognaku tokajskiego we Lwowie.

Potwierdzam, że Pański tokajski Cognak w wielu wypadkach rekonwalescencji, po chorobach płuc i dolnych części ciała, jakoteż rekonwalescentom po febrze położniczej, z bardzo dobrym skutkiem używałem, dla tego też takowy jak najusilniej zalecić mogę.

Z szacunkiem
L Lateiner m. p.
5574—3—2. lekarz praktykujący i akuszer.

Pierwsza w Krakowie

Parowa fabryka stolarska

Braci Muranyi

przy ulicy Dajwor. 5548—7—2.

Fabryka przy pomocy najlepszych systemów maszyn, do najróżnorodniejszego obrabiania drzewa, wzorowo urządzonej suszarni, oraz znacznego zapasu materjałów nabywanych z pierwszej ręki — wykonuje wszelkie roboty stolarskie, jakoteż posadzki cegiełkowe, deseniowe i fornierowane w jak najkrótszym terminie, z doborowego i suchego materjału i po najprzystępniejszych cenach.

L. Niewiadomski i Spółka

poleca

swój bogato zaopatrzony

Handel towarów żelaznych

po cenach umiarkowanych

w Kołomyi, Rynek liczba 69.

5492—5—4.

Izydor Wohl

ulica Sykstuska l. 6

we Lwowie.

Dla Galicji jedyny wyłączny

Skład herbaty rosyjskiej

założony w roku 1870.

5564—3—3.

TYLKO vis-a-vis Kościoła św. Anny.

BIURO

„Pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu“ we Lwowie

sprzedaje

Najlepszy **Węgiel kamienny i koks z kopalń górno szlązkich, tak całymi wagonami** dla wszelkich fabryk, gorzelń, cegielń, browarów, młynów parowych i t. p. jakoteż **w mniejszych ilościach** do opalania pieców

po cenie 65 i 70 ct. za 50 kgr.

z dostawą do domu

Zamówienia, także telefoniczne i listowne uskuteczniają się sumiennie i bezwłocznie

Biuro pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu **H. Dattnera,** ul. Grodecka l. 3. a I. piętro Nr. telefonu 390.

Główny skład na dworcu kolei Karola Ludwika i przy ulicy Grodeckiej l. 3. a.

(5522—12—9)

Bernhard Halpern

zegarmistrz,

we Lwowie ulica Hetmańska l. 10.



poleca swój obfity

Skład wszelkich zegarów kieszonkowych i ściennych.

Reperacje
wykonuje rychło i tanio.

Na dwa lata gwarancja

z wyjątkiem przypadku.

5512—8—7.

Nowy specjalny skład

HERBAT

pod firmą:

Adolf Singer

Lwów, ul. Sykstuska l. 17

poleca prawdziwe gatunki herbat chińsko-rosyjskich najlepszej jakości począwszy od 1 40 za pół kg. do 4·50, jakoteż oryginalną herbatę Braci K. & S. Popów w Moskwie po najtańszych cenach, (z powodu niskiego kursu).

Dla dogodności Szan. P. T. Publiczności, na prośbę, sprzedaje z każdego gatunku począwszy od 10 dg. polecając się łaskawym względom. Zamówienia uskutecznia odwrotnie od 1 kg. Wysełka franko

Na żądanie cenniki wysełą się.

5566—12—3.

Odszczególnioną medalem rządowym na Wystawie krajowej w Krakowie w r. 1887

KROWIANKĘ

pewną i czystą poleconą przez Kom przem. Tow. lek. krak. rozsyła konces. **Zakład Krowiankowy w Lisku** po cenie **60** ct. za fiolę szklanną lub kauczukową, wystarczającą do zaszczepienia 3 dzieci.

Składy w aptekach: K. Wiszniewskiego i L. Rosnera w Krakowie; — J. Beisera i Sklepińskiego we Lwowie i Lepiankiewicza w Przemyślu. — Większe obstalunki znacznie taniej uprasza się kilka dni naprzód zamówić.

Józef Freysinger

5287—49 st. lekarz miejski **w Lisku.**

Wszech nauk lekarskich

Dr. Leon Runes

z Wiednia, osiedlił się **w Śniatynie,** ordynuje od godziny 2—4.

5568—3—3.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.

CENA 10 ctw.

Lwów, dnia 25 lutego 1892 r.

ISKIERKI

Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Gońca i Iskry".

Modlitwa.

O Wiekuisty! Światów wszystkich Panie,
Coś jest wolnością, i mocą, i słońcem,
Ogniskiem prawdy ludom gorejącem,
Co dzierżysz karę, grom i zmiłowanie,
Przed którym chylić muszą dumne czoła
Ludy i palmy, wieżyce i zioła,
Do Ciebie wołam: Wróć nam wolność Panie!

O! bo już setkę lat cierpim karanie,
Bowiem zagasły nam już wszystkie zorze
I grzbiet w kajdany skuty wciąż knut orze
A pierś rozpaczy nam rozdziera łkanie, –
Więc Ciebie, czyja litość wszystko garnie,
Co nie dasz zginąć robakowi marnie,
Błagam: Ojczyznę racz nam wrócić Panie!

A że pierś naszą toczy nieprzerwanie
Zły czerw niezgody i jad nienawiści,
Że miast miłości w głębi serc się iści
Burza warcholstwa i dzikie miotanie,
Że biały orzeł krwawym wstydem płonie, –
Więc padam na twarz i podnosząc dłonie,
Wołam: Racz przedtem zgodę dać nam, Panie!..

H. Nagiel.



Pożegnanie.

— No, bądź zdrów! bądź zdrów! mężulku, a nie tęsknij bardzo za mną!..
— Tylko szanuj się, moja droga, i zaproś ciotkę na chrzestną matkę...
— Bądź spokojny – znajdę ja i chrzestnego ojca...

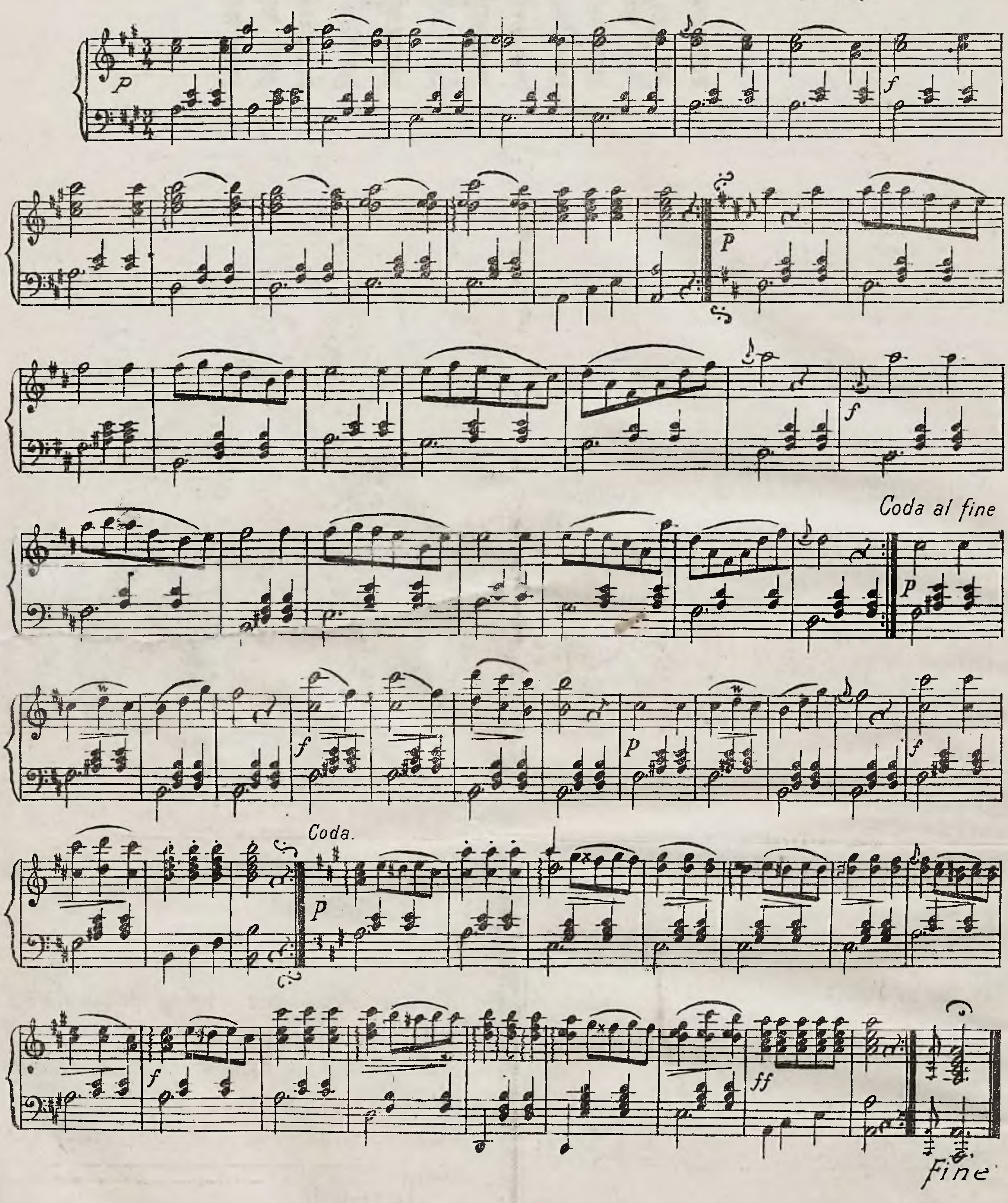
Przeszkoda.



— *Czy tu mieszka pan Pakuła?*
— *Tu, ale teraz jest zajęty.*
— *A cóż robi?..*
— *Żonę bije...*

WALC

J. Czubski.



W szpitalu wojskowym.

(Dzień pierwszy.)

Żołnierz: Panie regimencharc! Melduję posłusznie, że przybyło dziesięć cuwaksów!

Lekarz: Macie tu dla każdego receptę na lekarstwo. . .

(Dzień drugi.)

Żołnierz: Panie regimencharc! Melduję posłusznie, że z wczorajszych 10 cuwaksów, dziewięć umarło.

Lekarz: Jak to, przecież zapisałem lekarstwo dla dziesięciu

Żołnierz: Ten dziesiąty niechciał zażywać — dlatego żyje. . .



Pan profesor botaniki na ekskursji.

Na ulicy.



— Moja córko! na ulicy się nie je...
— A jak się chce?..
— Nie wszystko się robi, co się chce, no i nie wszystkiego się chce, coby się robić chciało.—

Filozoficzne rozpamiętywanie.



— Matko! ja mu tego nie daruję! Tak mnie zwieść podle!
— Ale cóż mu zrobisz?..
— Wezmę te wszystkie jego prezenta i zastawię!...
— Ba, kiedy te klejnoty, z czeskiego szkła...
— Boże! jakie to wszystko kruche - słabe - nic nie warte na tym świecie!..

W buduarze.



— Gdybym nie był waszym bratem, to ten wasz negliż i toaletowanie się sprawiałyby mi „prawdziwą przyjemność...

— A nam, właśnie, przykro, że tylko jesteś bratem...

Trzy stopnie w jednej osobie.



Pani auskultantowa. Pani sędzina. Pani prezesowa.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo Fr. Kowaliszyn. Odbito w Litografji A. Przyszlaka, we Lwowie.